

W eseju zatytułowanym bałamutnie *Jak czytać książki?* Virginia Woolf konstruuje listę przymiotów, którymi powinien cechować się czytelnik. Czytanie to bowiem bardzo odpowiedzialne zajęcie, „to sztuka złożona i trudna”. Zgodnie z tym, co znajdujemy u Woolf, tworzy ono, dzięki wyobraźni, intuicji i osądowi odbiorcy pewną „aurę”, którą „oddychają pisarze”. Czytelnik i jego rola w budowaniu wpływu na literaturę jest niezastąpiona i o wiele donioślejsza niż rola jakże często błędzącego krytyka. Idealny czytelnik musi zatem być szczery, żywo reagować na słowo pisane, prezentować samodzielne, indywidualne stanowisko, „oceniać z wielką sympatią, a zarazem bardzo surowo”. Woolf przestrzega też przed oczekiwaniem od książek tego, czego w żaden sposób nie mogą one dać. Rozpoczynając lekturę należy wyzbyć się wszelkich „przesądów”: „Nie dyktuj autorowi, postaraj się zostać autorem, być jego współpracownikiem i sojusznikiem”. To przecież takie proste. Nie krytykuj, nie oceniaj przedwcześnie, gdyż: „Jeśli otworzysz umysł najszerzej, jak potrafisz, wówczas niemal niezauważalne znaki i sygnały, poczynawszy od meandrów pierwszych zdań, pozwolą ci obcować z człowiekiem innym niż wszyscy” (przeł. Magda Heydel).

Warto byłoby zatem zastosować się do tych rad, przystępując do lektury prozy samej Woolf, autorki z wielu względów wyjątkowej. Patronki ruchów feministycznych, tragicznej heroiny zmagającej się z chorobą psychiczną, zakończonych samobójczą śmiercią, autorki genialnych fraz, wielu popularnych na całym świecie powieści, wreszcie ikony kultury popularnej, czy ambasadorki brytyjskiego stylu życia. Warto byłoby także sprawdzić, czy sama Woolf stosowała się do swoich rad, przystępując do czytania. Jej postać ginie bowiem w jakże londyńskiej mgłę legendy, jej osobowość rozmywa się w wielości interpretacji i osądów, truizmach i w kółko powtarzanych kilku anegdotach. A gdyby tak pokusić się o sprawdzenie u źródeł, przebić maskę totemiczną artystki i zbliżyć się na tyle, na ile to możliwe, do niej samej, do rzeczywistości, w której żyła?

Viviane Forrester zwraca uwagę na to, iż pozostając agnostyczką, usiłowała cały czas nadać życiu głębszy sens, osadzić je w rzeczywistości, przeanalizować momenty jego pojawiania się, przemijania i znikania, by ocalić codzienność pojedynczego człowieka, wrażenia, które go bombardują, zapisać czas, utrwalić uczucie, nim zgaśnie. Ocalić piękno, które dla Woolf zastępowało czynnik boski.

We wstępie do zbioru esejów *Dobrze myśli się literaturą* Ryszard Koziół pisze, iż czytanie jest aktem epifanii, gdyż w formie literackiej konsoliduje się i unaocznia całość życia, wrażeń, przypadkowości. Jakże bliskie to pojmowaniu lektury przez Virginie Woolf. I ona mogłaby zapewne podpisać się pod następującymi słowami śląskiego badacza:

Nie tylko literatura dostarcza nam sensu, jest przecież siostrą wielkich dyskursów sensu na czele z religią i historią. Tylko ona dowodzi jednak, że wszystko jest godne znaczenia, czyli że wszystko zasługuje na łaskę nazwania: pojedynczy człowiek, zwierzę, rzecz, to, co im się przydarza. Żaden inny dyskurs nie jest zainteresowany kompletnością pojedynczego istnienia, zwłaszcza tego bez znaczenia w historii. Literatura jako jedyna próbuje się z tym borykać.

Virginia Woolf borykała się całe życie, od początku swej drogi wiedząc, że zostanie pisarką właśnie po to. By ocalać. Zdawała sobie sprawę z podejmowanego trudu, od dziecka obserwowała wszak pracę ojca i jego rozlicznych przyjaciół, którzy tak jak i on parali się pisaniem zawodowo. Pozostała wierna swemu powołaniu tak długo, jak było to możliwe. Uczyła się od najlepszych dawać ludziom tę rozkosz, którą sama znajdowała w lekturze, nazywając się skromnie „zwykłym czytelnikiem”. Starannie ukrywała wysiłek włożony w każde zdanie, by tylko było ono potoczyste i oddawało zamysł twórczy. Pisanie było dla niej trudniejszą częścią czytania, które nazywała „przyjemnością samą w sobie ostateczną”. Aby można było ją czerpać po dziś dzień z jej powieści, kilkakrotnie mozolnie przepisywała każdą z nich, będąc zwykle u kresu sił, wyczerpując się psychicznie i fizycznie, wymagając od siebie więcej i więcej.

Jak każdy człowiek nie była wolna od uprzedzeń i wad, zarzucano jej zarozumialstwo, małostkowość, zazdrość, zapewne słusznie. Jak pisze o niej Doris Lessing: „Wszyscy pragniemy, aby nasi idole byli doskonali; szkoda, że była taką osą, taką snobką – i tak dalej, ale miłość musi być pozbawiona retuszu. Uważam, że w najlepszym wydaniu była wielką artystką” (przeł. Maja Lavergne).

Tom niniejszy ma być świadectwem pewnej czytelniczej przyjemności, która połączona z pasją „badacza owadzich nogów” próbuje się zbliżyć do tajemnicy wielkiego talentu w opisywaniu upływających chwil.

Życzę sobie i czytelnikom, abyśmy kiedyś zostali „zaliczeni do jednej grupy” wraz z autorką *Pani Dalloway* – grupy miłośników słowa pisanego. Myślę tu o zaskakującej doprawdy u ateistki fantazji, do której przyznała się Woolf w cytowanym powyżej szkicu. Odczytajmy ją naiwnie, bez żadnych uprzedzeń:

Kiedy nadejdzie Dzień Sądu i wystąpią wszyscy wielcy zdobywcy, prawodawcy i politycy, by otrzymać swoje nagrody – korony, laury i inskrypcje zapisujące ich imiona w nieśmiertelnym marmurze – wtedy Wszechmogący, widząc nas, którzy przyjdziemy, dźwigając pod pachą książki, zwróci się do świętego Piotra i głosem jakby nieco podbarwionym zazdrością powie: „Tym nie potrzeba już żadnej nagrody. My nie możemy im dać niczego więcej. To są ci, którzy kochali czytanie”.

Gdy zaczynałam zajmować się twórczością Woolf, jej wczesne teksty, jak na przykład *Pokój Jakuba* czy *Podróż w świat*, nie były jeszcze wydane po polsku, tłumaczyłam je więc sama, czego ślady są w niektórych z zamieszczonych w tomie esejów. Stopniowo luka ta zaczęła się wypełniać, a pisarstwo Woolf zdobywało w Polsce nowy, szerszy krąg odbiorców. Ukazywać się zaczęły również rzeczy związane z jej fascynującą biografią, korespondencja, a ostatnio – eseje. Wciąż jednak czekam na pełne polskie wydanie dzienników pisarki, na kolejne tłumaczenia jej recenzji literackich, na szersze zainteresowanie polskich badaczy kręgiem grupy Bloomsbury... Cierpliwie wypatruję też momentu, w którym twórczość Woolf przestanie być postrzegana tak silnie przez pryzmat metodologii gender i badań feministycznych, które to interpretacje, jakkolwiek w większości słuszne i wartościowe, bywają niekiedy w bolesny sposób ograniczone, przez co odbierają talentowi Woolf cały rozmach. Mam nadzieję, że mnie samej udało się uniknąć tej pułapki.

Teksty, które zebrałam w niniejszym zbiorze, były częściowo publikowane wcześniej w tomach zbiorowych i czasopismach lub prezentowane na konferencjach naukowych, o czym dokładniej informuje nota edytorska. Wszystkie zostały jednak przejrane, zaktualizowane (zwłaszcza wówczas, gdy ukazały się polskie tłumaczenia cytowanych przeze mnie utworów), poprawione, a niekiedy – jak w przypadku szkicu o Woolf i Conradzie – napisane zupełnie od nowa. Wypada też wspomnieć o tych tekstach, których w książce nie ma, gdyż jeszcze nie powstały – są wśród nich: eseje o ironii i pojęciu braku (zamówione przez Recenzentkę), panorama Garsington z portretem Ottoline Morrell na pierwszym planie, krótki szkic o zwierzętach w życiu i twórczości Woolf, niecodzienny tekścik o Orlandzie, mała interpretacja motywów ornitologicznych, kilka uwag o teatralizacji życia, glosa o snobizmie i przyczynek do tematu Henry’ego Jamesa, a na koniec obszerne biograficzne studium o stosunkach między Woolf i Katherine Mansfield. Pozostaje mieć nadzieję, że zdrowie

i bezkolizyjna współpraca z moimi przyszłymi studentami pozwolą mi znaleźć czas na ich napisanie...

Na koniec zostawiam sobie przyjemny, a jakże anglosaski obowiązek podziękowania wszystkim, którzy nie zapominali o moim „sekretnym hobby” i dobrym słowem, nienachalnym mailem czy „pytaniem znienacka” motywowali do przekazania rzeczy do druku. To przede wszystkim moja Rodzina, której dziękuję za cierpliwość i nabożne traktowanie rozkładanych wszędzie materiałów. Słowa gorących podziękowań niech zechcą przyjąć „odwieczne” orędowniczki mojego „woolfowania”, które zawsze miały czas na małe „mowy motywacyjne”: Katarzyna Kuczyńska-Koschany i Agnieszka Kwiatkowska. Dziękuję Wiesławowi Ratajczakowi za cenne uwagi o Conradzie i okazane zainteresowanie. Za ciepłe słowa i oswojenie „strachu przed anglistami” dziękuję Aleksandrze Budrewicz, a za wnikliwą i inspirującą recenzję – Hannie Ratusznej. Dziękuję Wiesławie Stefańskiej za wszystkie wieczorne telefony i wspólne lektury. Dziękuję Alicji Sempowicz-Kalczyńskiej za fachową pomoc językową (i wszelką inną). Podziękowania za moc „spojrzenia z zewnątrz” kieruję również do niezastąpionej grupy wsparcia, która towarzyszy mi regularnie przy dosiadananiu nieparzystokopytnych.